słowa, ONI mają obowiązek tolerancji i otwartości, a każdy, kto myśli inaczej, jest albo faszystą, albo patologią. Nawet zadeklarowani „bojownicy o wolność i tolerancję” w praktyce oferują jedynie eliminowanie inaczej myślących (tzw. tolerancja represywna, *no-platforming etc.*). Albo ich przymusową reedukację w imię sprecyzowanych przez siebie kryteriów światowości i aktualności. Konserwatyści natomiast nieodmiennie chcą wszystkich zbawiać. Nie pomni, że bram raju raczej i tak nie dostąpią ci, którzy nie czynili zła tylko dlatego, że im to uniemożliwiono. Można się też zapewne zastanawiać, czy nie zahacza o herezję pelagiańską nie tylko wymyślanie nowych postaci dobra, ale nawet jego formalizacja czy prawna kodyfikacja. Bo zmuszanie innych, by sprawowali dobro za nas i na swój koszt, już na pewno trąci siarką.

Sztuka staje się coraz częściej bezpośrednią pochodną politycznych interesów. Czy tak być musi? Czy nie potrafimy obronić wolności sztuki? Oczywiście, frazes „wszystko jest polityką” robi furorę, bo nieprawdopodobnie ułatwia życie. Ponadto zapewnia patetyczne i wzniosłe uzasadnienie naszych zamiłowań i mniemań. Bo skoro np. lubię obżerać się słodyczami, każdy, kto będzie mnie napominał, jest wrogiem wolności. Choć fakt, że jestem niewolnikiem własnego apetytu będzie już poza dyskusją. Niestety, nieświadomość nie czyni nas wolnymi. Dotyczy to także spontaniczności, czyli – jak twierdzi nauka – najprostszych schematyzmów zamieniających nas w kamerdynerów naszych instynktów, płciowości oraz potoczności.

Jakie wyjście z tej sytuacji? Poprosiliśmy o rozmowę na ten temat dwie znane postacie z przeciwnych obozów: Katarzynę Kasię i Piotra Bernatowicza. Oczywiście, jak wszyscy od dawna wiemy, jakiejś nadziei można by upatrywać w dążeniu do racjonalności i minimum wzajemnego szacunku. Czy to jednak przekonuje młodych ludzi, którym niekiedy wprost wmawia się, że idą na akademię nie po to, aby się uczyć, lecz aby walczyć o władzę?... Zacznijmy więc może od tego, że nie wszystko jest polityką. I że życia społecznego wcale nie trzeba utożsamiać z walką. ✖

KATARZYNA KASIA

JAN STANISŁAW WOJCIECHOWSKI

ROZMOWA

ROZMOWA
ROZMOWA

J.S.W.: Warszawska ASP jest dziś w kleszczach determinacji płynących z przyjętych przez nią regulacji ustawowych oraz ogólniejszych – społeczno-kulturowych. Te pierwsze kierują w stronę prostych odruchów obronnych, zmuszają do porządkowania uczelnianej substancji organizacyjnej i finansowej. Sprowadza się to do działań dyscyplinujących, wręcz do „furii ewaluacyjnej”. Rosną napięcia spowodowane brakiem bądź arbitralnością kryteriów ocen. Mamy też do czynienia z nadaktywnością „ekonomistów” przeliczających zasoby ludzkie na pieniądze z państwowych dotacji. To typowe gry zarządcze, implantowane do Polski po 1989 roku. Nie trzeba chyba dodawać, że nie cieszą się poparciem ludzi nauki, a co dopiero artystów. Wyższe uczelnie (w tym

artystyczne) wymagają dofinansowania. Ale niekoniecznie w zakresie infrastruktury (tu poszły w ostatnich latach duże pieniądze), lecz w sferze ludzkiej. Kadra powinna otrzymać godziwe pieniądze, aby uwolnić się od stresu egzystencjalnego. Trzeba zniwelować różnice między zarobkami nowego managementu uczelnianego i kadry profesorskiej, dźwigającej ciężar nauczania, i odważnie otworzyć myślenie na zupełnie nowe wyzwania, jakie niesie czas kultury. Czy widzisz jakieś pragmatyczne rozwiązania organizacyjne pozwalające wykorzystać nowe ustawowe wymogi do rozwoju naszej uczelni?

K.K.: Pomysł ewaluacji wyrasta w dużej mierze z niedostatków finansowych, z sytuacji, w której żyjemy nie od dzisiaj i nie od ustawy Jarosława Gowina. Pierwszy pomysł parametryzacji był pokłosiem takiego myślenia o nauce: skoro nie jesteśmy w stanie na odpowiednim poziomie finansować wszystkich uczelni, finansujmy najlepsze. Zrodziło się pytanie, jak te najlepsze uczelnie wyłonić. Oczywiście, uczelnie powinny być oceniane na podstawie kryteriów merytorycznych, jednak szybko okazało się, że diabeł tkwi w pytaniu o kryteria. Pojawiła się koncepcja punktów za publikacje, a wraz z nią pierwsze listy punktowanych czasopism. Bardzo szybko jednak narzędzie, które w teorii umożliwiało obiektywne ocenianie dokonań naukowych, samo stało się korupcjogenne. Teoretycznie neutralne narzędzia można wykorzystywać tak, żeby faworyzowały pewien rodzaj osiągnięć naukowych, dyskryminując inne.

W 100 proc. zgadzam z tobą, że o ile parametryzacja jest bardzo trudna w przypadku nauki, o tyle w przypadku sztuki jest jeszcze trudniejsza, a nawet niemożliwa. Od razu na początku popełniono kilka grzechów śmiertelnych. Podstawowy polegał na tym, że w odróżnieniu od wszystkich innych sytuacji w ewaluacji osiągnięć naukowych prawo działa wstecz. To znaczy, że nawet jeżeli na miesiąc przed końcem czteroletniego okresu ewaluacyjnego zmieniają się kryteria, są one stosowane do całego ocenianego okresu, co sprawia, że pracownicy naukowi nie mają szans odpowiednio się przygotować. Nie są w stanie zapewnić sobie dorobku, bo nigdy do końca nie wiedzą, co będzie premiowane. Jeśli zakładamy, że oceniamy uczelnie i przyznajemy środki finansowe na podstawie wyników ewaluacyjnych, powinniśmy stosować stabilne reguły. Zmiany władzy doprowadzały do wprowadzania nowych reguł podczas gry: kończąc mecz piłki nożnej, nagle dowiadywaliśmy się, że gramy w tenisa.

Kolejnym problemem jest (widać to w ostatnich miesiącach, od kiedy ministrem nauki został prof. Przemysław Czarnek) proces polegający na dowartościowywaniu środowisk akademickich bliskich władzy. I to jest niedopuszczalne, bo nagle dowiedzieliśmy się, że publikacje w pismach o międzynarodowej renomie są warte tyle samo, co publikacje w niszowych organach, wydawanych przez nieliczące się na arenie światowej ośrodki akademickie.

Obecny model ewaluacji jest jednym z wielu pomysłów na dystrybuowanie środków, których zawsze jest za mało. Natomiast sposób rozdzielania środków i jego konsekwencje to już zupełnie inna sprawa. Myślę, że podstawowe problemy polskiej akademii to permanentny brak pieniędzy i korupcja. Rola decydentów jest przesadnie duża, system niepotrzebnie scentralizowany. W związku z tym pojawił się zresztą pomysł decentralizacji.

J.S.W.: Ale stało się dokładnie odwrotnie...

K.K.: Stało się odwrotnie. Powstały narzędzia na tyle złe, że jeżeli posłużymy się nimi bez dobrej woli, doprowadzimy do większej centralizacji. To widać w działaniach ministra Czarnka na wszystkich poziomach edukacji. Procedura ewaluacji mogła stać się narzędziem sprzyjającym tworzeniu merytokratycznej struktury w akademii, ale niestety tak się w Polsce nie stało. Sytuacja uczelni artystycznych jest jeszcze trudniejsza, co wynika z faktu, że funkcjonują na pograniczu dwóch resortów: Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu oraz Ministerstwa Edukacji, Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Problem rzetelnej ewaluacji jest palący. Nie mam złudzeń co do tego, że lista czasopism punktowanych jest opracowana nierzetelnie, tak samo nierzetelne i politycznie uwikłane będą wszystkie komisje, które miałyby oceniać akademickie osiągnięcia artystyczne. Oczywiście, można było na początku zakładać, że będą się liczyły rzeczywiste osiągnięcia, że będziemy mówili o ważnych wystawach, dużych galeriach itd., ale już widzimy, że i tutaj pojawia się tendencja podążania w stronę zaściankowości i wykoślawionej polityki kulturalnej.

Tego się bardzo boję, bo chociaż jesteśmy tuż przed ewaluacją, do tej pory nie znamy jej kryteriów. O ile w nauce mamy przynajmniej listę czasopism, jakakolwiek by ona była, w przypadku sztuki nic nie mamy. Mamy za to kategorie tak niejasne i nieostre jak „osiągnięcie wybitne". Nie wiemy, kto będzie decydował o tej „wybitności" ani według jakich kryteriów. Wprowadzenie do rozporządzenia ministerialnego tego rodzaju kategorii jest absolutnie niedopuszczalne, bo co to właściwie znaczy „wybitne"? Tym bardziej że dowiedzieliśmy się, iż „wybitny" jest nie tylko artykuł opublikowany w pismach *Nature* czy *Science* (jeśli wrócimy w obszar nauki), ale też w kwartalniku *Nieruchomości @ Kwartalnik Ministerstwa Sprawiedliwości*. Boję się, że nagle pojawi się równie absurdalna i arbitralna jak lista czasopism naukowych lista galerii i muzeów. Okaże się, że ważniejsza jest jakaś galeria przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim niż Labirynt albo Zachęta. To nie ma nic wspólnego z myśleniem o dobru polskiej kultury, tylko z tworzeniem na siłę nowych obszarów referencyjnych, które będą charakteryzowane jako „wybitne" wbrew stanowisku środowiska, wbrew obiektywnym kryteriom. To jest bardzo niepokojące.

J.S.W.: Kiedy padło słowo „obiektywne kryteria", to podskoczyłem. Nie wiem, czy obiektywne kryteria da się kiedykolwiek zastosować. Z tego, co powiedziałaś, wyraźnie bowiem wynika (zresztą ja mam takie samo zdanie), że przygotowano narzędzie, jeszcze za czasów minionych rządów, które miało posłużyć do wyłaniania pewnej elity merytokratycznej, po czym to narzędzie zadziałało w innych rękach. Używa go dziś władza pod każdym względem inna od wcześniejszej. W zasadzie w ogóle nie byłbym skłonny akceptować tego „kryterialnego" (czy ewaluacyjnego) modelu. Ty podchodzisz do tego łagodniej, mówisz tak, ale... Oczywiście, szarża w postaci stwierdzenia, że ten model trzeba w ogóle wywalić do kosza, byłaby przesadna, ale coś chyba z tym „wywalaniem" jest na rzeczy. Na tyle zmienił się świat, na tyle zmieniły się warunki gry, że tendencja do wytwarzania kominów merytokratycznych w tych nowych warunkach sprawdza się tylko pozornie. Bo przecież polityka w Polsce (cokolwiek by mówić) pozostaje płynna. To narzędzie pojawi się w rękach kolejnych ekip w ministerstwach i znów wynikną z tego kłopoty dla kogoś. W mojej perspektywie podejście „parametryczne" obarczone jest błędem u samych swych narodzin. Z kolei trudno powiedzieć: dajcie porządne pieniądze artystom i profesorom, niech wreszcie odetchną, bo niby skąd te pieniądze wziąć? Ale dziś się pieniądze daje, dziś może trzeba w ogóle inaczej myśleć. Do niedawna nie bano się eksploatacji ludzkich zasobów i nie bano się mówić wprost (i nie wprost), że kapitalizm przynosi różne korzyści, ale za cenę morderczej pracy, zwłaszcza ciężkiej pracy obywateli polskich. Kiedyś to działało, dzisiaj już nie. Odwrócenie tego myślenia i przełożenie akcentu z „wyzysku" na „opiekuńczość" nie zmienia faktu, że pieniądze nie biorą się z drukarki. Co zatem robić? Czy jesteśmy bezradni? A może z twojej perspektywy możliwe są działania inne niż radykalne odwracanie trendów, bardziej łagodne, koncyliacyjne?

K.K.: Nie wiem, na ile moja perspektywa jest łagodna czy koncyliacyjna, bo w gruncie rzeczy wciąż poszukujemy kryteriów. Sytuacja jest prosta: mamy za mało kasy, chcemy to, co mamy, podzielić tak, żeby dało jak największy pożytek, zastanawiamy się więc nad najbardziej sprawiedliwymi regułami. Jakimś kryterium mogłaby być liczba studentów, których ma uczelnia. W takim modelu pieniądze idą za studentem, tak zresztą było przez wiele lat. Później zdecydowano, że pieniądze idą za nauką. Minister Kudrycka i minister Gowin mieli w głowie różne rankingi międzynarodowe i chcieli, aby polska nauka była wyżej na liście szanghajskiej, żeby nasze uczelnie nie były w czwartej setce, lecz np. w drugiej. Warto jednak pamiętać, że aby być w pierwszej setce tej listy, musielibyśmy przede wszystkim radykalnie zwiększyć nakłady na naukę. Trudno o osiągnięcia bez świetnie wyposażonych laboratoriów. Tymczasem w Polsce uznano, że sprawę załatwi większa eksploatacja uczonych, którzy za niewielkie pieniądze będą dokonywać wielkich odkryć.

J.S.W.: Protestuję przeciwko takiemu kierunkowi myślenia, trzeba go radykalnie zmienić. Trzeba uruchomić większe nakłady, teraz pieniądze mają kolejną falą popłynąć z UE. Potrzebny jest skok cywilizacyjny.

K.K.: Pomysł był oparty na założeniu, że dużych pieniędzy na naukę nie będzie, więc należy nadrabiać tam, gdzie można. Mamy przecież bardzo dobre kadry i gdyby je jeszcze trochę docisnąć, nadrobimy publikacjami. To nie będzie zbyt kosztowne, bo nasi uczeni pracują za pieniądze o wiele mniejsze niż gdziekolwiek na Zachodzie. Stąd pomysł na parametryzację i na ewaluację.

J.S.W.: Pomysł do radykalnego przepracowania.

K.K.: Ewaluacja jest w tej chwili swoją własną karykaturą. Może na początku szło o jakieś merytoryczne, mierzalne osiągnięcia. Mierzalne, czyli takie, dzięki którym możemy współpracować z różnymi ważnymi uczelniami na świecie i chociaż pracujemy z naukowcami, którzy zarabiają dziesięć razy więcej od nas, jesteśmy merytorycznie na tym samym poziomie. Polska nauka może dzięki temu być obecna w światowej wymianie intelektualnej itd. Ale w tej chwili i to nie jest możliwe. My dalej będziemy biedni, dalej będziemy niedoposażeni, dalej nakłady na naukę nie wzrosną, ale jeszcze gorsze jest to, że przestaniemy być obecni na arenie międzynarodowej. Bo jeśli na konferencję pojadą ludzie, którzy mają siedem publikacji w jakimś piśmie wydawanym przez KUL, to – z całym szacunkiem dla tej uczelni – nie jest to przesadnie ważne. Ty mówisz: dofinansować wszystkie uczelnie, wziąć kasę z Europy. Ale co się stanie, jeśli dostaniemy wsparcie z UE i wydamy je na utworzenie Międzynarodowego Programu Kopernikańskiego, który miał być alternatywą PAN?

J.S.W.: Tak, kasa była i nadal jest, tylko trzeba dobrze jej użyć.

K.K.: Czyli pieniądze są, tylko nie wydaje się ich właściwie. Ustawa Gowina jest tak skonstruowana, że w dalszej perspektywie ma doprowadzić do upadku mniejszych uczelni. Po prostu służy przyspieszeniu wymierania uczelni. Ma dofinansowywać tych, którzy w ewaluacji wypadną najlepiej, a zamykać tych, którzy wypadną gorzej. Inaczej mówiąc, doprowadzić do tego, że małe ośrodki same się zamkną, zostaną zagłodzone.

J.S.W.: Kasiu, widzę, że przychylasz się do mojej tezy, że problem tkwi w poważnym dofinansowaniu uczelni.

K.K.: Dofinansowaniu Janku, ale też zwalczaniu korupcji.

J.S.W.: Dodajesz, że dofinansowaniu nie w tej formie i w innej perspektywie merytorycznej, a także – jak rozumiem – innej perspektywie

politycznej. Jest tu bardzo wiele problemów i musielibyśmy rozwijać naszą rozmowę w stronę dzisiejszych głębokich społecznych podziałów. Tego chciałbym w tym momencie uniknąć. Nie znaczy to, że uchylam się od głębszego rozważenia kwestii jakości dydaktyki akademickiej, tylko przekonany jestem, iż wymaga to otwarcia innego horyzontu refleksji. Poświęciłem temu zagadnieniu spory tekst w *Aspiracjach* (*I kto tu rządzi?*, *Aspiracje* nr 47/48/2017). Oderwijmy się od tych gier organizacyjnych, ewaluacyjnych, finansowych, od kryteriów, które zawsze będą uwikłane w politykę. Czy zarysowałabyś horyzont dyskursu o ważnych dla nas wszystkich sprawach tutaj, lokalnie, i dla innych mieszkańców planety? O czym warto dziś mówić w związku z kulturą, sztuką, przyszłością cywilizacji? Wydałaś książkę (*Doświadczenie estetyczne i wspólnota spektaklu*, Universitas, Kraków 2019), w której wymieniłaś pewne ogólniejsze kategorie, pewne sposoby waloryzowania naszej rzeczywistości. O czym byś była skłonna mówić, co mogłoby być ogólnym punktem odniesienia dla oceny jakości akademickich osiągnięć?

K.K.: Jesteśmy w szczególnym momencie historii i mamy tego świadomość. Przez ostatni rok doświadczyliśmy czegoś, czego ludzkość w takim wymiarze na przestrzeni ostatnich 100 lat nie przeżyła. Poradziliśmy sobie z tym, w pewnym sensie dzięki nauce. Oczywiście, sytuacja nadal jest bardzo trudna, pojawia się mnóstwo pytań. Jeśli zastanowimy się nad rokiem 2020 (jak np. Yuval Noah Harari w swoim ostatnim, bardzo ciekawym tekście) w kontekście pozytywów, czyli tego, co nam się udało, zobaczymy, że stało się coś niewiarygodnego. Przede wszystkim nastąpił gigantyczny postęp medycyny. Przecież myśmy „portret" tego wirusa widzieli w kilka tygodni po ogłoszeniu pandemii! Po roku mamy nie jedną, ale wiele skutecznych szczepionek. Jesteśmy na bardzo dobrej drodze do opracowania lekarstwa. Są kraje, w których udało się skutecznie przeprowadzić zbiorowe szczepienia i uzyskać odporność społeczeństwa na tyle dużą, że można wychodzić z lockdownu. To są gigantyczne osiągnięcia. Mamy wspaniałe technologie komunikacyjne. Zobaczymy to szczególnie wyraźnie, gdy spróbujemy sobie wyobrazić świat bez Internetu. Śledzenie drogi zakażeń czy dróg transmisji wirusa byłoby po prostu niemożliwe bez tych narzędzi, którymi dysponujemy. Już nie mówię o tym, iż wbrew bardzo popularnej tezie, że świat się zatrzymał, on dzięki technologii cały czas działał. Dalej uczymy studentów, chociaż się z nimi nie spotykamy twarzą w twarz. Jesteśmy w stanie online kontynuować większość naszych działań. To coś wspaniałego, choć niesie wiele niebezpieczeństw. Rodzi się bowiem pytanie, co będzie dalej.

J.S.W.: W dziedzinie technologii dużo się działo i stało się wiele rzeczy (chyba) dobrych. Ale czy w sferze mentalnej, światopoglądowej, gdzie lokuje się filozofia, gdzie pracują pewne kategorie kulturowe, estetyczne oczywiście też, nastąpiły jakieś ciekawe przewartościowania? Może pojawiło się coś nowego?

K.K.: Na pewno tak. Czytałam, że ciągu tego jednego roku pandemicznego ludzkość dokonała w sferze technologii komunikacyjnych postępu, który w normalnych warunkach zająłby 10 lat. Coś się wydarzyło bardzo szybko i zupełnie zmieniło naturę relacji międzyludzkich. Możemy zadać pytanie, czy zostaniemy w wirtualnym świecie, który jest wygodny, dopóki działa, i do którego jesteśmy coraz bardziej przyzwyczajeni? Na ile zmieniła się natura naszych interakcji? Co się dzieje z ciałem, kiedy zostaliśmy zredukowani do kartezjańskiego *cogito*? Możemy się dziś czuć jak mózgi w słoikach, ciało jest tylko tym, co delikatne, narażone na zakażenie, ale też zakażające. Zostawiamy ciało w domu, a dzięki Internetowi nasz umysł będzie hulał po świecie dokąd zechce, bo jest dużo mniej ograniczeń niż kiedykolwiek. Możemy rozpocząć rozmowę w Warszawie, przenieść się na konferencję do Wrocławia, potem do Nowego Jorku, a zakończyć w Buenos Aires. Z drugiej strony nasze interakcje ze światem ograniczyły się do dwóch zmysłów z pięciu. Dysponujemy tylko wzrokiem i słuchem.

J.S.W.: To jest źródło lęku i pogłębiania się stresu cywilizacyjnego. W twojej perspektywie to wygląda jak pewna szansa, wręcz wzlot komunikacyjny. „Fruwamy" teraz bez cielesności, która bywa uciążliwa, a w warunkach koronawirusa wręcz śmiercionośna. To może być źródło uciechy, ale dla niektórych ludzi jest źródłem niezwykle silnych lęków egzystencjalnych, nie mówiąc już o fundamentalnej konfuzji o charakterze religijnym.

K.K.: Z drugiej strony pandemia uświadomiła nam, że o ciało trzeba dbać. Zupełnie zmienił się stosunek do codziennej troski o własną przestrzeń, o własne ciało, o siebie. To jest wielka i ważna konsekwencja. Kategoria lęku, o której wspomniałeś, jest kluczowa. Wirtualne, intelektualne poruszanie się po świecie jest przecież tylko namiastką normalnego życia, mamy tego pełną świadomość. Starałam się powiedzieć, że jest fajnie mieć taką możliwość, ale z drugiej strony rośnie lęk, że tak już zostanie. Że będziemy odseparowani w naszych bunkrach, a przecież potrzebujemy bliskości, normalnego spotkania z innym człowiekiem. To jest niezwykle niepokojące. W tekstach filozofów, którzy komentują pandemię na bieżąco, pojawia się jeszcze jedna bardzo ważna kategoria: odpowiedzialność. Bo istnieje pytanie, skąd się ta choroba wzięła i dlaczego. W większości wypadków odpowiedź uczonych jest prosta: sami to sobie zrobiliśmy przez skrajną nieodpowiedzialność, brak szacunku dla planety, na której żyjemy, jej nadmierną eksploatację, przez to, że trafiliśmy w rejony, w które nie powinniśmy byli trafiać, przez to, że ograniczamy przestrzeń do życia innym gatunkom, że od stuleci prowadzimy rabunkową gospodarkę, że niszczymy

środowisko naturalne. Można przeczytać wiele świetnych analiz pokazujących, że pandemia jest tego konsekwencją. Dla mnie poczucie odpowiedzialności jest czymś bardzo cennym, chciałabym, aby pozostało. Tęsknię za bezpośrednim kontaktem z ludźmi bardzo i, chociaż szanuję technologię, chciałabym, abyśmy zadali sobie rzetelne pytania o naszą odpowiedzialność i solidarność nie tylko z innymi ludźmi, ale ze wszystkimi istotami zamieszkującymi Ziemię. Już nie wystarczy, żeby Polacy byli solidarni, żeby ludzie byli solidarni. Chodzi o to, byśmy sobie uświadomili, że konsekwencje braku solidarności będą poważne, że stracimy miejsce do życia w najbardziej fundamentalnym sensie. Myślę, że pogłębienie świadomości ekologicznej mogłoby być konsekwencją pandemii. Oczywiście, obawiam się, że tak nie będzie, że ludzkość się otrząśnie i nie zmieni sposobu funkcjonowania, że znów da się uwieść poczuciu, które bardzo lubimy, że panujemy nad światem, że daliśmy sobie radę, jesteśmy dzielni. Wcale nie jesteśmy dzielni, wręcz odwrotnie, jesteśmy winni temu, co się stało, i albo bardzo radykalnie zmienimy sposób funkcjonowania, bycia w świecie, albo doprowadzimy do jeszcze gorszej katastrofy. Mam wrażenie, że tę pandemię trzeba traktować jak ostrzeżenie na wszystkich poziomach: na poziomie ludzkich interakcji, na poziomie interakcji człowieka z planetą i z innymi istotami na niej żyjącymi, na poziomie politycznym, w bardzo wielu obszarach, na które pandemia oddziaływała. Widzimy w różnych krajach, że pandemia pozwoliła również uświadomić sobie, jakie powinny być nasze priorytety w polityce. Bo zobacz, kto sobie poradził lepiej: te kraje, które więcej wydają na opiekę zdrowotną. A kraje, które więcej inwestują w zbrojenia, poradziły sobie gorzej.

J.S.W.: Podpisuję się pod pojęciami odpowiedzialności i solidarności, dodałbym do tego realizm. Myślę o realizmie nie tylko w jego sensie potocznym, ale przede wszystkim w sensie filozoficznym. Krótko mówiąc, do priorytetów dodałbym realizm jako myślenie wbrew postmodernistycznemu fantazmatowi. Ale powróćmy do naszej uczelni. Uważam, że wpadnięcie w dół parametryzacji ma podstawową wadę: odciąga nas od myślenia o sposobach wydobycia się z kryzysu cywilizacyjnego. W moim przekonaniu konieczne jest „szarpnięcie do przodu". Nie chodzi o jakąś szarżę, lecz o planowe myślenie rozwojowe. Co w naszej uczelni mogłoby stanowić radykalny ruch modernizacyjny, progresywny? W moim przekonaniu powinny się pojawiać nowe jednostki organizacyjne. Przykładowo wiele oczekuję od powstałej właśnie Szkoły Doktorskiej. Bardzo się cieszę, że stworzono nowy Instytut Sztuki Mediów im. Profesora Winiarskiego! Ale także fantastyczną rolę mógłby odegrać Wydział Zarządzania Kulturą Wizualną, zwłaszcza ze swoją koncepcją badań artystycznych. Uczelnia znalazła się pod ostrzałem różnych roszczeń. Z jednej strony odzywają się zwolennicy sprawdzonego całą powojenną praktyką modelu „uzupełniania" artystycznych studiów kierunkowych

wiedzą, zwaną teoretyczną. Czyli bagażem pojęć i stwierdzeń z obszaru dyscyplin humanistycznych, zwłaszcza historii sztuki, historii filozofii, socjologii. To ma czynić z absolwenta szkoły artystycznej inteligenta po wyższych studiach. Z drugiej strony dojrzała tendencja do rozumienia praktyki obrazowania (na płótnie, w rzeźbie, performansie i wszelkich innych mediach) w ścisłym związku z przyjętą perspektywą ideową (socjologiczną, filozoficzną czy – w moim przekonaniu – wprost „teologiczną"). Oznacza to coś w rodzaju immanencji obrazu, praktyki działania i myśli. Takiej synergii warto by uczyć, zwłaszcza że od dawna taki model stosowany jest w dydaktyce innych krajów. Trzeba szukać organizacyjnych form wdrożenia tego modelu w warszawskiej ASP. Mogłoby to nadać uczelni odpowiedni impuls modernizacyjny, płynący z samej istoty współczesnego procesu twórczego, a nie z głębin „algorytmów parametryzacyjnych". A ty jak widzisz relacje praktyk wizualnych i „teorii" w dzisiejszej dydaktyce na uczelniach artystycznych?

K.K.: Myślę o dwóch rzeczach. Po pierwsze o interdyscyplinarności i transdyscyplinarności. Ostre podziały dyscyplin artystycznych są już nieaktualne. Trzeba by się zastanowić nad bardziej intensywną współpracą z osobami z różnych wydziałów, o tworzeniu wspólnych projektów przez studentów z różnych jednostek organizacyjnych akademii. Druga rzecz jest związana z kwestiami ekologii i odpowiedzialności. Otóż na naszych oczach kończy się pewien paradygmat wytwórczości. Kończy rozumienie sztuki jako wytwarzania pięknych (inspirujących, szokujących) przedmiotów. Potrzebujemy innego myślenia o sztuce i o tym, czym ona jest. Tutaj zgadzam się z tobą, że rola Wydziału Zarządzania Kulturą Wizualną jest ważna, chociażby dlatego, by zrozumieć, iż sztuka nie musi być wytwórczością. Sztuka to działanie, tworzenie wspólnoty, zmienianie społecznego otoczenia, inicjowanie sytuacji. To zwracanie uwagi na problemy, ale nie przez to, że się coś jeszcze dostawi, coś jeszcze dołoży. We współczesnym świecie cierpimy na nadmiar rzeczy, nie na ich brak. Z tym akademia będzie się musiała skonfrontować. Jeśli nie teraz, to za 10, 20 lat.

J.S.W.: To nie są sprawy nowe, takie myślenie wpajał mi jeden z moich mistrzów Oskar Hansen dobre 50 lat temu.

K.K.: Nowość nie jest tu istotną kategorią.

J.S.W.: Chcę tylko powiedzieć, że ten sposób myślenia o sztuce towarzyszy nam na uczelni od dawna i wciąż ma przed sobą przyszłość. Dodam tylko, że dziś bardzo się cieszę, iż do moich mistrzów należy także Jerzy Jarnuszkiewicz, który pozwolił mi ocalić szacunek do przedmiotu zintegrowanego z realnym miejscem na Ziemi.

K.K.: Musimy sobie zdać sprawę z tego, że jeśli nasza uczelnia ma być instytucją akademicką, kształcącą na wyższym poziomie, instytucją, która wyznacza nowe trendy (od tego zawsze była akademia), powinniśmy przestać bać się pewnych rzeczy. Nie ma chyba nic gorszego w takiej instytucji niż zachowawczość, potulność.

J.S.W.: Właśnie tak. Proszę, podkreśl to „wężykiem".

K.K.: Potrzebujemy zdać sobie sprawę z tego, jak ważne społecznie jest to, co robimy. Nie działamy przecież tylko dla siebie, wytwarzając jakąś zamkniętą wspólnotę. Nie. Musimy mieć świadomość, że to, co robimy tutaj, w akademii, oddziałuje na kształt polskiej kultury. Ona się rodzi tutaj, ona się tu zaczyna. Poczucie odpowiedzialności nie powinno nas paraliżować, lecz wręcz przeciwnie – powinno pozwolić nam odnaleźć w sobie tę solidarność, tę odpowiedzialność, to poczucie wpływu, które gdzieś po drodze zgubiliśmy. Musimy sobie uświadomić, że jesteśmy jako wspólnota wyjątkowi i że ta nasza wyjątkowość przekłada się na to, co się w polskiej kulturze wydarza. Ja się boję pomysłów na ewaluację i tych komisji, które miałyby oceniać wybitność dzieł, bo takie myślenie hamuje rozwój. Tak po nietzscheańsku myślę, że wszystko, co hamuje życie, jest złe, zwłaszcza w odniesieniu do takiej instytucji jak Akademia Sztuk Pięknych.

J.S.W.: Na tym zakończmy, chociaż nie dotknęliśmy wielu problemów współczesnych praktyk artystycznych i estetyk oraz ważnej dla ciebie roli kobiet na uczelni. Może uda się te kwestie rozwinąć w innej dyskusji. Dziękuję za rozmowę. ✖

Dr Katarzyna Kasia — filozofka, publicystka, tłumaczka.
Prodziekan Wydziału Zarządzania Kulturą Wizualną.
W Akademii Sztuk Pięknych, w Warszawie prowadzi zajęcia
z historii filozofii, estetyki i filozofii kultury
z elementami antropologii.

PIOTR BERNATOWICZ

SŁAWOMIR MARZEC

ROZMOWA 2

S.M.: Ciągle rozpowszechniana jest opinia, że wszystko jest polityką. Moim zdaniem sama ta teza jest stricte polityczna, ale coraz częściej zauważamy, że faktycznie sztuka staje się bezpośrednią pochodną naszych interesów politycznych. Jak to widzisz, jak definiujesz politykę i polityczność sztuki?

P.B.: Polityczność zastąpiła we współczesnej sztuce odniesienia transcendentne. I nie ma w tym nic zaskakującego, zważywszy że już ponad 100 lat temu Nietzsche skonstatował śmierć Boga. Często źle interpretuje się jego słowa jako manifest ateizmu. Tymczasem on tylko trafnie zdiagnozował stan społeczeństw Zachodu, dla których Bóg przestał być ważny, istotny, oddalił się. Umarł. To, co wydarzyło się później: nazizm i komunizm, czyli próba zastąpienia Boga ideologiami – z jednej strony rasistowską koncepcją narodowego socjalizmu, a z drugiej – komunizmu z jego koncepcją walki klasowej i budowania utopii na ziemi, tylko tę diagnozę potwierdza. Trzeba podkreślić, że druga koncepcja w zmodyfikowanej formie przetrwała do dziś. Współczesna ideologia